Nr. 24. Warszawa, dnia 30 Maja (11 Czerwca) 1873 roku. ROK IX.—SERYJA 3-cia.

OPIEKUN DOMOWY

PISMO TYGODNIOWE

SPRAWOM WYCHOWANIA RZECZOM SPOŁECZNYM LITERATURZE I SZTUKOM PIĘKNYM POŚWIĘCONE.

CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.:	
rocznie	rs. 3 kop. 60	rocznie	rs. 5
półrocznie	rs. 1 „ 80	półrocznie	„ 2 kop. 50
kwartalnie......	„ 90	w Austryi rocznie	9 guldenów
miesięcznie.....	„ 30	w Prusach „	5 talarów

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 (NOWY).

Opiekun Domowy wychodzi az na tydzień co Środa.

Skład Główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u **Czapińskiego** (daw. księg. Rychtera); we *Lwowie* u **Wilda Karola**; w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza; *w Krakowie* w księgarni **A. Nowoleckiego.**

Numer pojedyńczy kop. 10.

„ŚWIATŁA NIE GAŚCIE!"

Na każdym niemal kroku słyszymy wyrazy: niezniszczone, bezpłodne marzenia i— twarda, nieubłagana rzeczywistość. Wyrazy te wymawiane najprzód melancholicznie, potym przeplatane żartem, wypowiadane wreszcie na seryjo, z przekonaniem, czy w formie przestrogi, z każdym stąpnieniem, z dniem każdym nabierały znaczenia, przeinaczały się, przekształcały;—koniec końcem olbrzymiały. Kto tylko myślał i czuł, podkładał pod nie swoje wyobrażenia, swoje pragnienia, swoje widoki na przyszłość. W pewnych okolicznościach wyrazy takie, dające się kurczyć i rozciągać, naginające się pod naciskiem myśli, słowem wyrazy elastyczne—nabierają niezwykłego uroku i nieobliczonej doniosłości. Że nieporozumienia z tego powodu bywają nader częste, że są nieuniknione—łatwo każdemu odgadnąć.

A więc jedni wołają: marzenia są zatrutą strzałą, przebijającą piersi samego marzyciela, odbierając mu zdrowy rozsądek i energiją do korzystnego wśród społeczeństwa działania! marzenia są rodzicami błyszczącej nędzy, a trumną istotnego dobrobytu! marzenia są przejściową formą do największej z nędz ludzkich—do apatyi, do zaniechania wszystkiego, co się czynem nazywa. Chcąc zdobyć sobie trwałą podstawę istnienia, należy marzenia odłożyć na bok, a całą siłą wziąć się do pracy. Przemysł, handel, ulepszenia w naukach i sztukach praktycznych—oto cel, ku któremu powoli a wytrwale każda jednostka społeczna zdążać powinna. Musimy pochwycić praktyczną stronę życia, bośmy ją dotąd strasznie zaniedbali. Zacofanie w stosunku do zagranicy, obskurantyzm i staroświeckie przesądy, są zaledwie małą cząstką, ułamkiem w porównaniu do innych niezliczonych szkód, jakie systematyczne usuwanie praktyczności ze sfery swych dążeń w społeczeństwie naszym sprawiły. Z tysiąckrotnym wyrzutem (powiadają), można powtarzać pamiętne słowa, że marzyciele nic nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli. Nieszczęścia przechodzą jak burza ponad głowami, pozostawiając po sobie ruiny tylko—ale żadnej nauki. A przecież nieszczęścia owe powinny były przywieść co najmniej do tego przekonania, że bez dobrobytu materyjalnego nie może być mowy ani o samodzielnej pracy w dziedzinie nauki, ani o żadnym stałym a wpływowym działaniu na zewnątrz.

Na te wołania odpowiadają inni, powołując się na świadectwo historyi i poezyi, że bez marzeń człowiek podobny jest do ściętego drzewa, pozbawionego soków żywotnych, jest bryłą martwą, albo też poprostu cielskiem opasłym, bez wyższego tchnienia ducha. Wzywajcie do dobrobytu materyjalnego, powiadają oni, a będziecie mieli cynicznych egoistów, którym ciepła wygoda tak zasmakuje, że po dobra duchowe, po wyższe cele społeczne nawet ręki wyciągnąć nie zechcą. Wszystko, co się nazywa ideałem, wszystko do czego szlachetni od tylu lat wzdychają, pójdzie w poniewierkę—o wszystkim zapomną, byleby tylko nikt im spokoju i rozwoju interesów nie zakłócił. Wiadomo, do jakiego stopnia spodlenia dochodzi nieraz człowiek, który postanowił *bądźcobądź* dobić się majątku; dla niego nic niema świętego na ziemi; wyrzecze się on zarówno uczuć rodzinnych, jak i społecznych; żaden wzgląd go na drodze do upragnionego dobrobytu nie powstrzyma; żadna podłość policzka nie zarumieni. Ci, których oczy skierowane są zawsze na „dobre interesy," są ślepi i głusi na sprawy ducha i serca. Świat ten to „giełda bez Boga"—powiedział Krasiński; i czyż może być inaczej?...—dla takiego świata — krajem, Bogiem, wszystkim jest mamona. Uczucia wtedy spadają niżej zera, zapał jest tematem do szykan i dowcipkowań, szlachetność wykreśla się ze słownika. Takie przekonania, dotkliwie raniące w ciasnym kółku rodzinnym, przeniesione na rzeczy szerszego zakresu, wyradzają zaparcie się idei, odstępstwo lub najzupełniejszą obo-

ŚLADY ŻYCIA.

XXIV.

Tyle życia, ile.. w czynie.

Tanie wydawnictwa są najpotężniejszym środkiem ułatwiającym nabycie wiedzy, najskuteczniejszą popularyzacyją nauki. Dla społeczeństwa, które pragnie światła, które w gruntownéj nauce, w zdrowych opinijach, w rozumnych celach — w umiejętnéj pracy widzi odrodzenie swoje, książka jest tak nieodzowną, jak kawałek powszedniego chleba. Bez karmu dla ducha nie może się obejść jednostka, pragnąca być człowiekiem obywatelem. Umysł nawet elementarne posiadający wiadomości, czuje pociąg do druku, i czyta co mu w ręce wpadnie—czyta czasem z pożytkiem, częściéj ze szkodą. Brakuje nam książek tanich, mających stale oznaczoną tendencyją, książek, coby szerzyły zdrowe, zgodne z duchem i potrzebą naszéj społecz-czności przekonania i zasady, coby w ręku matki, nauczycielki, lub nauczyciela domowego—oraz w ręku ludzi średnio lub mało wykształconych nie były zabawką dla zabicia czasu, ale pożyteczną wskazówką pedagogiczną, przystępnym wykładem pewnéj gałęzi wiedzy, lub nareszcie podręcznikiem w domowym wychowaniu dziatwy.

Podręczników naukowych dla początkujących niemamy zupełnie; nauczycielki (osobliwie dziewcząt) nie wiedzą jak sobie radzić. Szukają daremnie przystępnéj zoologii, botaniki, mineralogii, szukają gieografii, kosmografii, historyi polskiéj lub powszechnéj, historyi literatury. Szukają ekonomii politycznéj, szukają książki, z któréjby czytać i opowiadać dziecko mogło. Nie znajdują, czego żądają; biorą przeto podręczniki w obcych językach, i dziecko uczy się po francusku lub niemiecku.

Idźmy daléj: dajmy na to, że ktoś nie mogąc chodzić do szkół, lub skończywszy trzy lub cztery klasy, chciałby jednak coś czytać, chciałby coś wiedzieć, nauczyć się czegoś samemu, lub z pomocą drugich więcéj umiejących. Pytanie z czego się uczyć będzie, kiedy książek systematycznie a przystępnie rzecz traktujących nie masz zupełnie lub jeżeli są, to liche?

Z braku więc pomocniczych, nieodzownych środków, fatalnie cierpi wychowanie domowe i kształcenie się samodzielne, — samouctwo.

Uwzględniając potrzeby społeczne, i tylko te potrzeby mając na celu, oświadczamy, iż rodzinie należy przygotować szereg tanich książek różnéj treści, szereg, stanowiący pewną skończoną całość. Poradnik dla matek i nauczycielek rozbierający, o ile można, gruntownie kwestyją wychowania,—wykład systematyczny a przystępny nauk przyrodzonych—gieografija i historyja, tak krajowa jak powszechna—historyja literatury ojczystéj, ekonomija polityczna—higiena, dyjetetyka, popularne pogadanki z dziedziny prawa, z zakresu moralności i obowiązków społecznych, dla uroz-

jętność.—Kto wam powiedział, że marzenia są formą przejściową do apatyi? Zapytajcie się dziejów; czy tam na dnie wielkiego czynu, każdego przeobrażenia, posuwającego ludzkość naprzód, nie leży wzniosła jakaś idea, marzenia, wydające się dla krótkowidza niepodobnemi do spełnienia? Co pobudzało wielkich reformatorów do przedsięwzięcia niebezpiecznych kroków, krwawiących im stopy? Zapewne nie wzgląd na dobrobyt materyjalny—bo zwykle ginęli w nędzy i w cierpieniu. Sprężyną ich postępowania była wzniosła miłość swoich spółbraci, była chęć wydźwignięcia z ciemnoty i biedy moralnej milijonogłowych mas! Podobało się wam takie postępowanie nazywać mrzonką, idealogiją, snem czuwających—ha! nazywajcie sobie jak chcecie; ubolewamy nad tą smutną koleją, na jaką sprawy społeczne wtoczyć zamierzyliście i usuwamy się na bok — drogi nasze rozejść się muszą.

Nie! rozchodzić się nie powinny... cel spólny musi z sobą połączyć ludzi szlachetnych. Wszakże nikt zapewne nie wątpi, że tak po jednej jak po drugiej stronie dla wszystkich jedna jest rzecz najdroższa i święta—dobro ogólne. Jeżeli powstają spory, nieraz bardzo żywe, jeżeli każdy silnie pod własnym walczy sztandarem, dowodzi to, że sprawa, o którą rzecz idzie, o najważniejsze kwestyje życia potrąca. Zarówno ci, co narzekają na marzenia, jak i ci, co wyklinają „brudną rzeczywistość i prozę" czują najlepiej, że tu nie idzie o logiczną definicyją pojęć, o zabawkę naukową na temat jednego rozdziału psychologii. Zarówno jedni jak i drudzy, w sporze zaciętym, najszlachetniejsze mają zamiary. Nieporozumienie atoli obu stron trwa ciągle i rozszerza się coraz bardziej na szersze koła myślących.

Sądzimy, że pewne zbliżenie faktów nie będzie bez pożytku. Nie będziemy wdawali się w szczegóły; naszkicujemy tylko w grubych zarysach jednę chwilę w rozwoju pojęć społecznych śród naszego społeczeństwa.

Około roku 1840 położenie rzeczy było mniej więcej takie samo, jak obecne. Tysiące myśli i tysiące projektów snuło się po głowach krajowej inteligencyi, szukając jakiegoś punktu oparcia, jakiejś kotwicy, na której możnaby spokojniej podumać nad uporządkowaniem przeróżnych prądów, szarpiących znękane społeczeństwo. Kwestyje poruszone à propos literatury, przeszły stopniowo i na inne dziedziny. Bardzo potężnym naówczas był głos tej partyi, której najdzielniejszemi przedstawicielami byli: ks. Ignacy Hołowiński, Wacław Przesławski (redaktor Tygodnika Petersburgskiego), znany powieściopisarz Henryk Rzewuski; utalentowany pseudonim Eleonora Sztyrmer i inni. Dążność ich zwracała się przeciw zatrutemu oddechowi „Zachodu" (np. Eugenijuszowi Sue), przeciw materyjalizmowi epoki, poświęcającemu wszystko dla złota, przeciw ruchowi przemysłowemu, który demokratyzował społeczeństwa i w połączeniu z „nowinkami naukowemi" musiał koniecznie zaprowadzić do „ateizmu". Wszystko, co było ruchem, życiem, postępem naprzód, wyklinano jak czarta. Losowi temu uległ między innemi i Bronisław Trentowski, który przecież pomimo mnóstwa wad, nieocenione położył zasługi. Wszelki ruch, w jakimkolwiek zakresie, był podług nich, przekroczeniem przykazań boskich, które nauczają uległości i poddania się wyrokom Opatrzności. Ascetyczna pobożność, rozważanie dziejów i uznawanie w nich palca Bożego, doskonalenie się wewnętrzne (naturalnie w kierunku dewocyi)—oto były cele, jakie ci apostołowie kwijetyzmu narzucali naszemu społeczeństwu, chcąc je zbić z drogi, na którą ledwo było wstąpiło.

Oczywiście pojawiły się protestacyje. *Biblijoteka Warszawska, młode* wówczas pismo (zaczęło wychodzić od 1841) przez usta kilku swoich współpracowników, stawiła mężne czoło *zacofanym* pojęciom owej partyi, która pozyskała już sobie bardzo wielu stronników. Mięszaniny Bejły (Henryka Rzewuskiego), w których postęp zmieszany był z błotem, stały się punktem wyjścia dla długich i wrzących sporów. Najważniejszą w nich fazą była ta chwila, kiedy znakomity krytyk p. Aleksander Tyszyński, cytatami z pisma św. i z Ojców Kościoła zaczął dowodzić, że *bierne* poddawanie się wyrokom Opatrzności nie stanowi bynajmniej gruntu nauki chrześcijańskiej, że ona przedewszystkiem wymaga *czynnego* spółudziału człowieka w rozwoju celów naznaczonych przez Stwórcę. Z tego naturalnie zasadniczego punktu wyniknęły i dalsze konsekwencyje. Postęp okazał się najistotniejszym czynnikiem w nauce Chrystusa, konieczny i nieodwołalnym obowiązkiem każdego człowieka i każdego społeczeństwa; a postęp ten objawiać się powinien we wszystkich działach ludzkich czynów, odnoszących się tak do ducha, jak i do ciała. Nie siedzieć więc z założonemi rękami i rozmyśląć nad przeszłością—bo to nauka Buddy; ale krzątać się około spraw ziemskich i działać—bo to nauka Chrystusa.

Taki rezultat wyciągnięty z czytania Biblii i Ojców Kościoła był niespodziewany, niemniej przecież przekonywający. Młodzież ówczesna podzielała te poglądy i obok *postępowej* Biblijoteki Warszawskiej, stanął również postępowy *Przegląd naukowy* a później „Gwiazda Kijowska," nie licząc innych, mniej wpływowych czasopism. Wyobrażenia, licujące z poglądami tych pism, zwyciężyły—przynajmniej na czas pewien. Niektóre myśli, propagowane przez ks. Hołowińskiego i spółkę, upadły zupełnie i zaledwie w salonach bigotów i dewotek, mają jeszcze przytułek; inne, w zmienionej formie, wypełzały nieraz. Z przykrością musimy tu zanotować, że nasz pod tylu względami i w tak wysokim stopniu zasłużony Kraszewski, w pewnej chwili swojej twórczości, dał przystęp do siebie jednej z nich. Mówimy tu o „Chorobach wieku," które miały na celu wystawić straszne skutki zajęcia się praktycznemi interesami, zaprowadzenia fabryk i podniesienia przemysłu. Wystudzone serca, przygniecione mózgi, wykrzywione pojęcia o wzniosłości, o poświęceniu, o wyższych celach—oto są według Kraszewskiego ostateczne rezultaty fabrycznego dymu, który przeniknie do wnętrza ducha ludzkiego. „Światła nie gaście" ducha nie zabijajcie"—woła w szlachetnym zapale nasz znakomity powieściopisarz, któremu szlachetności nikt nie odmówi, którego o obskurantyzm i wstecznictwo rozmyślne, nigdy posądzać się nie godzi.

W głosie jego brzmi prawda i przekonanie, powtarza się on w setnych echach i dzisiaj—musi więc być racyją bytu. Poszukajmy jej. Dziś, co prawda, niepodobna już znaleść człowieka myślącego, któryby wprost i bez ogródki wszystkie czarne strony społecznej cywilizacyi przypisywał *postępowi*, czyto w zakresie sztuk i nauk, czy też w dziedzinie przemysłu i handlu. Mówi się o tym mimochodem, z pewnemi zastrzeżeniami, z pewną oględnością. Chodzi teraz głównie o *kierunek* myślenia i postępowania. We wszystkich owych wykrzyknikach tak *za* jak i *przeciw*

---

maicenia—szereg tendencyjnych powieści,—oto mniej więcej zbiorek, mający składać „biblijoteczkę domową".

W prospekcie naszego pisma na rok 1873 zapowiedzieliśmy wydawnictwo takiej *biblijoteczki;* obecnie przystępujemy do wykonania zamierzonego projektu. Zbyt dobrze rozumiemy i oceniamy znaczenie tej pracy, zbyt szanujemy ogół, który ją sądzić będzie... dla tego też o ile siły starczą dołożym rąk, aby wydawnictwo nasze było pożyteczne i opracowane jak najsumienniej.—„Przegląd Tygodniowy" dał inicyjatywę taniego wydawnictwa, jego 50 tomów za 5 rs. jest przyswojeniem naszemu piśmiennictwu dzieł mniej lub więcej popularnie traktujących różne kwestyje naukowe, — dzieł znanych i cenionych w sferze ludzi wyższego ukształcenia, — ale dzieł obcych. Droga, jaką obieramy, jest inną—my chcemy przyjść w pomoc *mniej umiejącym*, chcemy dziełkami oryginalnemi i do potrzeb naszej społeczności zastosowanemi wesprzeć chętnych samouczków, umniejszyć trudu nauczycielom elementarnym.... i na długie wieczory zimowe przygotować zajęcie średnio wykształconym czytelnikom. Prospekt, jaki wkrótce załączymy, objaśni szczegółowo cel i zakres „biblijoteki domowej"; obecnie czyniąc krótką wzmiankę z dobrą wiarą, zabieramy się do pracy, dla rodziny..... dla domu.

* * *

Jak się dowiadujemy z Kuryjera Codziennego „*Tygodnik Przemysłowo-Handlowy*", czasopismo poświęcone sprawom rolnictwa, przemysłu i handlu—przeszedł na własność p. Brunona Ciemniewskiego, właściciela dóbr w guberni Płockiej. Drugie zaś pismo specyjalne mianowicie *Gazeta Rolnicza* wraz z wychodzącym przy niej Kuryjerem Rolniczym—zmienia także właścicieli i redakcyją.—Nowonabywcami są wychowańcy b. Szkoły głównej Warszawskiej PP. Jan *Święcicki* i Rajmund *Wyszkowski.* Ziemianie więc obeznani z potrzebami naszych gospodarstw rolnych—młodzi, energiczni i wykształceni—potrafią mamy nadzieję pokierować pismem tak—iżby stało się ono dla rolników naszych organem niezbędnym i prawdziwie użytecznym. Cieszymy się tą myślą i „Szczęść Boże" zasyłamy młodym współtowarzyszom.

* * *

Ostatni—za miesiąc Maj—zeszyt Biblijoteki Warszawskiej, odznacza się, więcej niż poprzednie harmonijnym układem artykułów. Prócz beletrystyki, reprezentowanej przez dalszy ciąg powieści Kraszewskiego „Hrabina Kosel" i zalecający się prostotą stylu a żywą charakterystyką wypadków, pierwszy „List z Ameryki do przyjaciół" J. Horaine'a, znajdujemy tu dalszy ciąg sumiennej, historycznej pracy o Kromerze (Cypryjana Walewskiego)—ważny, ekonomiczny artykuł „O zarobku" (Dra Strasburgera) i w „Przeglądzie piśmiennictwa" ocenę kwestyi językowej pana Kryńskiego, skreśloną przez pilnego w tej sferze pracownika, p. Sławińskiego. Najpokaźniejsze miejsce w poszycie zajmuje „Marcin Kromer", praca, której językowi—jak dotąd—zarzucić można pewną suchość i niezupełną poprawność, lecz której dziejowemu arsenałowi przyznać należy wyjaśniające wiele polityczno-hierarchicznych z XVI wieku stosunków, a więc—niebezpłodne bogactwo. Zastrzegając sobie ostateczne sformułowanie naszej o tej rozprawie opinii po jej ukończeniu, zwrócimy jeszcze uwagę na pozostałą treść zeszytu, a w szczególności na dwie powyżej wymienione prace, ekonomiczną i językową. Pierwsza nadaje Biblijotece Warszawskiej nieco wybitniejszą cechę żywotnej naukowej siły; autor, p. Strasburger jest przeciwnikiem fikcyjnego prawa niezmienności w zakresie ekonomii społecznej i gorącym zwolennikiem

„nieubłaganej rzeczywistości", nie ma sporu o to, *czy* działać powinniśmy, ale *jak* działać należy. Dowodzi to, że już wszystkie umysły za *koniecznością postępu* jednozgodnie się oświadczyły. Jestto już *niecofniony* krok naprzód. Starajmy się zrobić krok drugi. Przygotowaniem ku temu, jak już nieraz wspominaliśmy, jest wyrobienie stałych przekonań i wyjaśnienie pojęć.

Niepodobna zaprzeczyć, że oddanie się całkowite i wyłączne interesom materyjalnym, prowadzi do pewnego zobojętnienia na sprawy duchowe, na cele obchodzące nie jednostkę, troszczącą się o swój dobytek, ale ogół cały, zajęty swoją organizacyją. Ale niepodobna również zaprzeczyć, że bez podstawy materyjalnej nie można nawet pomyśleć o postępie duchowym, o urzeczywistnieniu odleglejszych planów. Dobrobyt materyjalny dostarcza *środków* niezbędnych do wykonania wszystkich celów naukowych, artystycznych i społecznych. Jedynie wraz z dobrobytem materyjalnym mogą istnieć szkoły, mogą powstawać uniwersytety, pracownie i laboratoryja, towarzystwa naukowe i pisma specyjalne. Tylko wraz z dobrobytem wszystkie ogólniejsze i szersze plany zaczynają wchodzić w sferę rzeczywistości. Są to prawdy tak elementarne, że nie potrzebujemy tu wchodzić w żadne szczegóły. Gdyby nie dobrobyt materyjalny pozostawalibyśmy dotąd na tym stopniu oświaty, na którym się jeszcze znajdują dzikie ludy Ameryki i Afryki.

Czy wraz z wzrostem dobrobytu materyjalnego podnosi się zarazem i poziom oświaty, udoskonalenia w zakresie pojęć socyjalnych, co tu jest rzeczą najważniejszą,—jestto pytanie rozwiązywane w bardzo rozmaitych kierunkach, stosownie do naprzód powziętej myśli. Dobrobyt materyjalny i postęp społeczny oddziaływają na siebie w tysiączny sposób i wytwarzają stosunki, które stanowią całość ogólnego życia ludzkości. Kto wierzy w doniosłość rozwoju umysłowego, kto ufa w wykształcenie charakteru pojedyńczych członków społeczeństwa, ten nigdy narzekać nie będzie na materyjalną stronę ogólnego dobrobytu, do którego dziś się powszechnie zwracają.

Takie jest znaczenie głosów nawołujących do praktycznego i przemysłowego wykształcenia, do pracy organicznej, do przysparzania dobrobytu. Jeżeli ktoś w pojedyńczych przykładach zepsucia, cynizmu, bezdusznego sobkostwa chce upatrzyć ideał tego kierunku, ten byłby zapewne skłonny utrzymywać, że potwory są normalnemi produktami przyrody. Nadużycia, brak zrozumienia celów, przesada w słowach i w czynach są rzeczą nieuniknioną przy powstawaniu i przechodzeniu w życie nowej lub odnowionej zasady. Chcąc być sprawiedliwym w sądzeniu, należy wszystkie owe narośle i pasożyty wykreślić z rachunku, do którego wchodzić powinna jedynie czysta treść i nieskażona nauka.

Potrzeba się tylko porozumieć co do znaczenia wyrazów i nie nazywać *marzeniami* takich celów i zadań, które przedstawiają szanse możliwości, do dopięcia których prowadzą środki rozumne i dobrze obmyślane. Marzenie samo w sobie jest beztreściowe, albo lepiej: ma zbyt wielką, zbyt rozmaitą i zbyt zmienną treść—nie może więc służyć za podstawę do działania. Nazywamy marzycielem bezpłodnym człowieka, który niezdolny do systematycznej pracy, traci czas na snucie projektów, na kombinacyje wypadków, które nigdy w żadnym istotnym związku ze sobą nie zostawały i nie zostają. Nazywamy marzycielem człowieka, który porzuciwszy drogę pracy drobnej ale użytecznej, błąka się po manowcach niedościgłych planów i idei z pozoru wielkich a w gruncie pustych i nadętych.

Co innego jest myśl wielka a co innego marzenie o niej. Istotnie, ażeby dokonać dzieł wiekopomnych i reform wychodzących na korzyść społeczeństwa, potrzeba służyć idei, potrzeba mieć zapał i potrzeba mieć niezwalczoną żadnemi przeszkodami energiję. Ale marzyciele, o których tu mowa, nigdy do takich reform sił w sobie nie znajdą, bo ich nieokreślone marzenie, czyni ich ślepemi pod względem użycia i zastosowania środków, bez których, jak każdemu wiadomo, nigdy do celu się nie dochodzi. Człowiek bez wątpienia nie może i nie powinien niczego zapominać, bo ta urna popiołów co stoi po za nim, wymowna jest choć milcząca; wstrzęsłaby się na widok zapomnienia, ale powinien z biegiem czasu dużo się nauczyć. Wszystko, a przedewszystkim nieszczęścia jego, powinny być wskazówką, pełną doświadczeń i rozwagi. Każden zresztą marzyć musi—taka już jest natura ludzka—ale gdyby tych marzeń rozum nie porządkował, nie karcił, mielibyśmy całe pułki monomanów, którzy z sercem najszlachetniejszym, ale głową słabą a siłą zniszczą, mogliby tylko siać „łzy marne na nicestwa roli"—jak powiada Krasiński. W rzeczywistości, w życiu zwyczajnym każdy uznaje zdanie powyższe za zupełnie prawdziwe; niewiadomo więc, dla czego miałaby być fałszem w teoryi?..

Nie dziwimy się wcale tym, którzy z boleścią przysłuchują się ekonomice marzeń, bo oni w tym czynie widzą sponiewieranie poezyi, sponiewieranie najwznioślejszych ideałów społecznych. Protest ich w tym duchu zrozumiany, jest najzupełniej uzasadniony. Lękamy się jednakże, czy nie wzięli pozoru za rzecz samą. Żaden, choćby najżarliwszy zwolennik praktycznego kierunku nie chciałby w społeczeństwie widzieć same bryły opasłe, gnuśniejące wśród tłustego dobrobytu. Byłoby to zupełnym zaprzeczeniem postępu, gdyby ludzie wracali do stanu bezmyślności zwierzęcej. Postęp walczyć musi obecnie pod sztandarem nauki, a nauka bądźcobądź stwarza ideały, i to jedyne ideały, które nietylko w myśli, ale i w czynie mogą mieć zastosowanie. Dobrobyt materyjalny jest tylko środkiem do dopięcia celów wyższych, nie jednostkowych. Na tym właśnie punkcie zaczynają się rozstaje. Jedni go pojmują jako cel i ci są równie niedorzeczni, jak marzyciele, chcący walczyć bez oręża, oni idą ścieżką prowadzącą do bezmyślności i do brutalstwa. Przeciw nim powinni zarówno idealiści, jak realiści wyrzucić przygotowane naboje dowcipu, sarkazmu i rozumowania. Żaden postępowiec nie stanie po ich stronie. Ale nie należy ich mieszać z ludźmi, dla których dobrobyt materyjalny jest jedynie nieodzownym fundamentem, na którym ma się oprzeć wiekuista świątynia oświaty i cywilizacyi. Byłby to sąd Piłata.

Wiemy o tym, że ludzie zbyt dobrze pamiętają o swoich własnych interesach, ażeby im jeszcze ciągle je przypominać. Byłoby to prawdą, gdyby tu szło tylko o cele pojedyńcze, któreby regulował popęd samowychowawczy. Zupełnie inaczej przedstawia się kwestyja, gdy ją obejrzymy ze strony ogólnej. Potrzeba przedewszystkim kierunku, w jakim postępować ma sprawa, ażeby nie przeszła w potworność. Tysiączne kombinacyje interesu osobistego z interesem ogólnym,

---

indukcyi, a statystyczne dane, jakie dla rozwiązania kwestyi zarobku niemieckich zecerów podaje, na bliższą zasługują uwagę. Żałujemy tylko, że autor statystykę swego przedmiotu nie na ojczystym wzbogacał gruncie. W gramatycznym artykule p. Sławińskiego znajdujemy także spostrzeżenia, lecz spostrzeżenia powierzchowne tylko. Uderza nas tu, jak z jednej strony szczególna, zdumiewająca pracowitość autora, zapoznawanie najnowszych, ogólnie już sprawdzonych zdobyczy nauki, tak z drugiej nieuwzględnienie racyjonalnej historyi języka i jedynie umiejętnej, *porównawczej* lingwistycznej metody. W 5 zeszycie Biblioteki znajduje się jeszcze „Przegląd teatralny" w stosunku do całości zeszytu za bardzo rozległy, oraz „Kronika zagraniczna, mieszcząca w sobie między innemi opóźnione sprawozdanie o „Zarysach Anglii" Taine'a.

* * *

Podczas, gdy arcydzieła malarzy naszych świadczą wymownie o ich talencie na salonach wystawy wiedeńskiej, skromną cześć tutejszej galeryi ocalają chyba tylko nieodłączne od niej utwory simlerowskie. Myliłby się wszakże ten, ktoby sądził, że ruch publiczny w dziedzinie malarstwa krajowego zastygł choć na chwilę, że ściany wystawy towarzystwa zachęty sztuk pięknych świecą u nas pustką a nagotą; owszem, ruch ten, jak nateraz, jest dosyć wyraźnym, i gdyby szło tylko o liczbę pojawiających się przed oczyma publiczności obrazów, byłby nawet bardzo pocieszającym. Zdanie jednak nasze jest ogólne i nie nosi na sobie cechy bezwzględnej; w następnych kilku słowach będziemy się starali okazać, że i tu są *wybrani* między *wezwanemi*.

Każdy z tych, co zwiedzając dzisiaj warszawską galeryją, pamięta choćby kilkoletnią jej przeszłość, zauważył pewno, że po kierunku historycznym, w którym malarstwo nasze dotąd przeważnie się rozwija, pierwsze jak dawniej, tak i dzisiaj, miejsce zajmuje—religijny i alegoryczny, a po nim—illustracyjny i krajobrazowy. Życie nasze współczesne słaby tylko znajduje tam odblask, a jedyny, zdolniejszy jego tłumacz, prawie zawsze humorystycznie nastrojony Kostrzewski zacieśnia się w obieranych przedmiotach, niewiadomo dlaczego, do ram wsi i małego miasteczka. Dowodem tego są poczesne stanowisko zajmujące śród najnowszej seryi wystawowych obrazów, ostatnie płody tego popularnego talentu, dwa obrazki rodzajowe: „Myśliwi" i „Artyści w podróży." Pierwszy z nich przedstawia obradującą u stołu, w wiejskiej izbie, trójkę typów ze świata myśliwskiego: niedoświadczonego panicza, wytrawnego starego myśliwca i obeznanego już ze zwykłym trudem i biedą pachołka. We drzwiach ukazuje się służąca z przyborami do mającego poprzedzać łowy śniadania. Rysy i cała postawa panicza są milczące, gładkie i sylwetkowe; zwrócony ku niemu pełen niedowierzania wzrok i uśmiech dziarskiego starca zdaje się opowiadać o możliwych niebezpieczeństwach bliskiej wycieczki, a żywym wtórem tej głównej części obrazu jest oparty o krawędź stołu wyrostek, mizerne, lecz zahartowane dziecię gminu. Obrazek „Artyści w podróży," jak we względzie pomysłu tak i wykonania, stanowczo poprzedniemu ustępujący i obliczony już więcej na efekt humoru, przedstawia powrót do domu wiejskiego basetlisty i skrzypka, drzemiących, w towarzystwie swych instrumentów na gnojowym wozie. Pomysły w obu tych kompozycyjach są żywotne i świeże; technika tylko, jak we wszystkich utworach Kostrzewskiego, zanadto szkicowa, zdradza zbytni pośpiech. Większym nierównie obrazem, pod względem rozmiarów i szerokości zadania, jest Giersonowe: „Przemienienie Pańskie."

przedstawiające wielorakie małżeństwa, wywołują potrzebę ich kontrolowania i nadzoru. Przypominanie właściwego pomiędzy niemi stosunku będzie zawsze najświętszym obowiązkiem prasy. Nadużycia i fałszywe tłumaczenia napotykają się w każdej chwili—i one to sprawiają, że nawoływania do praktyki źle bywają rozumiane. „Światła nie gaście"—mówią nam zewsząd, bo będzie nam ciemno i drogi nie znajdziemy przed sobą. Słów takich lekceważyć nam nie można, ani ich szyderstwem zbywać, bo zbyt ważna jest sprawa, które one poruszają i zbyt szlachetni są ci, którzy je wypowiadają. Nie chcieliśmy pochwalać spekulantów, ładujących sobie kieszenie pod płaszczykiem dobra ogólnego, nie chcieliśmy równie cynizmu i sobkostwa uznawać za istotny rezultat nowoczesnej nauki.

Dla nas to tylko pozostaje niezachwianą prawdą, że dobrobyt materyjalny jest naturalną i konieczną podstawą rozwoju umysłowego i społecznego. W tym ostatnim rozwoju sterem są przewodnie ideje, wypiastowane przez poezyję, ukochane przez ludzi. One są ową dźwignią olbrzymią, co porusza ludzkość ciągle naprzód i naprzód w niezmordowanym a wspaniałym pochodzie. Kto bez nich wstępuje w życie i zgromadza bogactwa, ten może być dobrym plantatorem, ale nie może być dobrym obywatelem. One skupiają w sobie wszystko, co dotąd ludzkość zdobyła najszlachetniejszego, największego i najświętszego. Marzenia tu splatają się z wymaganiami rozumu—i nabywając tym sposobem prawa obywatelstwa w świecie rzeczywistym, w świecie praktycznym, ożywiając człowieka zamiast go osłabiać, dodają energii, zamiast ją odbierać. Praktyczność zaś przestaje mieć dla ludzi czułych postać odstraszającą, na którą od niepamiętnych lat „zapoznane gienijusze" żółć swoję ze łzami zmieszaną wylewają, nie mogąc się do jej wymagań „dopasować"—bo praktyczność ta staje się wyrazem konieczności, zawierającej w sobie wszystkie najdroższe ideały. W ślubie tym nie ma żywiołów sprzecznych, bo zharmonizowały się one w dążności do ogólnego celu.

Idźmy więc naprzód, poszukując nie złudnych *fata morgana*, lecz pomysłów, któreby mogły przejść jak najprędzej granicę wyobraźni; idźmy po tej drodze, która prowadzi nie do próżnej chwały, ale do istotnego pożytku i zasługi. Starając się o zdobycie środków, nie zapominajmy o celach do których one zaprowadzić mają—a wówczas nazwisko „gasicieli światła" nie zostanie do nas zastosowanym.

W pracy mrówczej, rozpraszającej myśli, przytłumiającej czułostkowość, nie traćmy serca i wielkości duszy; marzenia swoje zastosujmy do przepisów rozumu, walczmy o dobrobyt, lecz w tej walce powolnej i drobnostkowej.

. . .nie przestajmy czcić świętości swoje
I przechowywać ideałów czystość—
Do nas należy dać im moc i zbroję,
By z kraju marzeń przeszły w rzeczywistość...

HRABINA ELODYJA.

Powieść
Maryi Szeligi.

(*Ciąg dalszy*).

Tymczasem Władysław męczył się i kłopotał w tej nowej dla siebie roli, ojca dorosłej córki. Codzień bywał u Beaty—ale nie śmiał prawie na nią podnieść oczu — w jej obecności czuł się upokorzony, zawstydzony. Ona przeciwnie odzyskała spokój – przyjmowała go z powagą, ale i uprzejmością—wynajdowała jak najobojętniejsze do rozmowy przedmioty—odrzucała stanowczo wszystkie dary—a na przywitanie i pożegnanie podawała mu swoje czoło niepokalane do pocałunku, który składał w milczeniu i z pomięszaniem. Hrabia Władysław próbował być *modnym* ojcem, chciał sobie nadać lekki, wesoły tonik zupełnej swobody—ale jedno spojrzenie Beaty głębokie, rozumne, łagodne—wytrącało go z tej roli tak mu niewłaściwej zawsze, a jednak niepodobnej w obec takiej jak ona istoty. Pewnego dnia hrabia Władysław rzekł z wymuszonym uśmiechem:

— Wszak prawda, że litość i przebaczenie, to wielka cnota, którą ty całkowicie posiadasz.

— Cnota wielka i chrześcijańska — a ja chciałabym się nią zawsze powodować!

— Ja otrzymałem już absolucyją—teraz śmiem się wstawiać za innym, mimowolnym grzesznikiem!

— Słucham mój ojcze.

— Człowiek ów zgrzeszył – podobnie jak ja – przez miłość.

— Jakto?

— Moja droga! Nie wszystkie istoty są tak święte jak ty!..—odparł hrabia nieco złośliwie. Ty nie znasz i nie pojmujesz namiętności, którym my, ludzie podlegamy bez walki. Ty jesteś wolną od egoizmu—kochasz bliźnich szczytnym uczuciem chrześcijańskiej miłości.—My kochamy śliczne jednostki—i zapominamy o teoryi lub katechizmie! Ja, gdybyś to uznawała, nie byłbym tyle winnym w twych oczach, że oszalałem z miłości dla cudownie pięknej kobiety..... i rozwiodłem się dla niej z brzydką żoną.

— Wracajmy do tamtego przedmiotu!—przerwała Beata ze wstrętem słuchając tych wynurzeń.

— Ten biedak, zakochał się całym sercem w czarującym stworzeniu—i chciał ją poprostu i dosyć głupio porwać! Ale przejęty dla niej najwyższym szacunkiem, sam siebie potępia za ten wybryk miłosny—i jeśli mu ta, którą obraził zbytkiem uczucia, nie przebaczy, palnie sobie w łeb lub zostanie trapistą.

— Domyślam się o kim mowa!

— O nieszczęśliwym Guciu! – On cię poznał, zrozumiał i ocenił!

— Nie dał tego dowodów znieważając mię swoim natręctwem! Prawdziwe uczucie nie zniża i nie kala, lecz uszlachetnia i podnosi człowieka. Więc go znasz mój ojcze?

— Jak ty mnie biblijnie tytułujesz droga Beato! Nazywaj mię poprostu po imieniu, albo jeśli chcesz koniecznie, to już „papą".—Pardonnez moi ma chérie!—Znam go wybornie—bo to brat mojej żony—złoty chłopiec, tylko marzyciel i ideolog!

— Wybaczy ojciec, że go inaczej tytułować nie będę—nie wymówiłabym „papy".

— A więc mów do mnie przez „ty".

— Nie mój ojcze!

— Jak chcesz!—Jakikolwiek tytuł dany mi twojemi usteczkami jest mi bardzo miłym.—Ja cię bardzo kocham Beato! — Nie wiem nawet czemu?.

— To bardzo szczęśliwie dla mnie!

— Ale jeśli choć jedną iskrę żywisz dla mnie uczucia, to tamtemu biedakowi przebaczysz?

— Ja się wcale nie gniewam! zupełnie inne jego postępek wywołał uczucie!

— Ah! biegnę mu to obwieścić!—On już przeszło godzinę siedzi w karecie przed bramą, i wzdycha pewno skarżąc się na losy, okrutną Beatę i deszcz ulewny!

— Ależ mój ojcze! Co chcesz robić?

W obrazie tym plastyka psychicznego nastroju trzech, przedstawionych Chrystusowych uczniów — Jana, Piotra i Jakóba, nadaje utworowi nieposlednią wartość i jeden więcej dowód prawdziwego talentu stanowi.

Inne, znajdujące się na naszej wystawie, najnowsze, religijnej treści utwory są wyrazem szczególnego upadku ducha, a jeden z nich, przedstawiający męczeństwo Ś-go Piotra, służy za smutne, lecz wymowne świadectwo zupełnego braku rzetelnej artystowskiej zdolności. Toż samo, w sposób tylko spotęgowany, powiedzieć można o ilustracyi do „Boskiej Komedyi" p. t. „Dante i Ugolino," jak również o dwu rodzajowych obrazkach: „Na łące" i „Pogrzeb żydowski." Wyrzucenie tych utworów poza progi wystawowej sali, byłoby zaprawdę bardzo korzystnym i budującym czynem, zarówno dla wystawców i Towarzystwa jak i samej publiczności.

Na zakończenie wspomnijmy jeszcze o niektórych, zasługujących na uwagę kompozycyjach. Obraz Dylczyńskiego „W górach," jakkolwiek grzeszy nieco wadliwą perspektywą, zaleca się jednak czystością kolorytu i wdzięczną charakterystyką głównej postaci; widzimy tu nieodany talent i w zasadzie pracowite studyja. Sypniewski w „Amazonkach" odznacza się dobrym rysunkiem koni. Dział krajobrazów zdobi „Giewont," a między portretami oznacza się pędzel Matejki i Maleszewskiego.

W oddziale rzeźby zasługuje na uwagę portret Matejki dłuta Rygiera, Skoniecznego „Madonna" i alegoryja Niemna i Wilii; z dawniejszych—portrety, przedstawiające Lubomirskiego i Dawisona.

* * *

Z Kujaw w Maju 1870 r.

„Pan na wiejskiego pospodarza się kierujesz" mówił do mnie kilkanaście lat temu podżyły jegomość, mój wielki przyjaciel, dojadający resztek życia, w ciehym, spokojnym miasteczku. „Byłem i ja nim mój panie, ciężki to zawód, zbliż się tylko z tym życiem, poznasz jak to trudno odpowiedzieć mu choć w części i zrobić coś coby było i do Boga i do ludzi." Nie uważałem wtedy na gawędy poczciwego staruszka. Dużo nas ochotnych i z dobrą wolą, a jakże ciężko! Trudne położenie, gdybyście je znali? gdyby wiedział nie jeden z Warszawiaków, który nosa nigdy po za rogatki nie wytknął, jak to ciężko nie z jednym. W mieście wszystko za gotówkę, za pieniądze, mam wszystko co dla duszy i ciała potrzebne, więc tylko staram się o nie, gdy to mam: cywilizacyja da mi resztę. U nas inaczej, inaczej, powtórzę z poetą. Myślałem kiedyś o tej wielkiej różnicy jaka nas od miasta oddziela i zakonkludowałem, że powód tego w tym iż się nie znamy. Pytam się Was czy nie jest to mniemanie powszechne: iż szczęśliwi ci ludzie na wsi. Chłop za nich zaorze, zasieje, sprzątnie, a oni jak do gotowego, tylko rękę wyciągnąć, wszystko znajdzie. Na ulicy rzucą ci słowo „szlagon" czego to jest synonimem domówcie w swej duszy. „Na wsi nic nie umieją, nic nie znają, zacofanie, ciemnota" mówią mieszkańcy miasta „jeżeli na co nam potrzebna wieś, to aby ją oskubać gdy z wełną i ze zbożem przyjedzie", czy to nie zdanie powszechne. Więc cóż? Więc w miejsce tego, aby tych którym warunki miejscowe odmówiły niejako sposobów podniesienia się i doskonalenia, przygarnąć do siebie i udzielić coś ze swoich skarbów odsuwacie obojętnością i pogardą. Zły to środek. Zdaje mi się jednak iż nic nie przesadziłem rysując taki obraz przekonań miasta o wsi. Myśmy wytworzyli cywilizacyją powtarza miasto, oni.... oni... nic. Strona druga odpowiada też coś na to, wyradza się niechęć, która rośnie i rośnie. A trzeba znać—a trzeba widzieć co to jest nasz szlachcic, siedzący na swojej wsi

— Idę pocieszyć strapionego i przyprowadzić go do twych stóp, aby podziękował za tę łaskę—czego wygląda jak zbawienia!

— Nie! na to nie przystanę!—Nie gniewałam się, bo zbyt nim gardziłam! Mego bólu już mu nie pamiętam wcale! — Jednak widzieć go nie chcę!

— Beato! przez miłość dla mnie—choć to może zaklęcie bez wartości! Przez wszystkie bogi dobroci i miłosierdzia! Cóż on winien że cię kocha?... Nie wiedząc wcale kim jesteś, rozmiłował się na piękne, i nie wiesz ani połowy tych waryjactw, które on z tej miłości popełniał. Serce jedyne! Głowa pełna. Trochę ma wady właściwej nam wszystkim—ale właśnie dla tego, wszystkie nasze panie za nim szaleją! Przecież ja, jako twój papa, mogę go wprowadzić! Nikt nie będzie wiedział!

— Jedno moje słowo zaspokoi wszystkich więcej niż wszystkie pozory—jednak nie powinnam przyjmować tego pana u siebie i nie rób mi tej przykrości mój ojcze!

— Zrobię—bo mi także żal tego chłopca, co waryjuje daremno!—Przebacz mój aniele! Jesteś święta! Będziemy oba błagać przebaczenia! Idę po niego! I hrabia wyszedł, śmiejąc się z zakłopotania Beaty, która nie mogąc się temu oprzeć, zamilkła z widoczną przykrością. Za chwilę hrabia i Gucio weszli do pokoju. Przedstawiony przez hrabiego, zaczął coś jąkać niewyraźnie—lecz Beata powiedziała z dumą:

— Dajmy pokój wspomnieniom! Wola mego ojca otworzyła panu te drzwi—co do mnie, powiem tylko, że się dziwię takiemu postępowaniu!

— Ah! Beato! tak się nie godzi!—zawołał hrabia.

— Proszę mi darować szczerość mój ojcze! ale w moim dzisiejszym położeniu nie mogę być zupełnie obojętną na drobne, a przecież znaczące uchybienia przeciw prawom towarzyskim.

— Pani ma zupełną słuszność! Ty Władysławie postąpiłeś sobie absolutnie—a ja, jestem coraz większą dla samego siebie przejęty pogardą!—Nie śmiem panią prosić o przebaczenie i uwalniam natychmiast od natrętnej obecności—wyrzekł Gucio smutno, a wyraz prawdziwego żalu odbił się w jego twarzy. Beata była mimowoli wzruszoną.

— Zostań pan!—W mowie pańskiej czuję chęć prawdziwą nagrodzenia złego, jakie pan wyrządziłeś.—A więc—niechże będzie wszystko zapomnianem!—dodała i skinieniem poprosiła ich siedzieć.

Półgodziny przeszło na dosyć ożywionej rozmowie—którą podtrzymywała Beata z umiejętnością i taktem. Obadwa salonowcy byli zwyciężeni i oczarowani jej mową i zachowaniem się pełnym wykwintnej elegancyi obok pewnej, tylko jej właściwej śmiałości i dumy.

— Beato! jutro rano wyjeżdżam—i znów parę tygodni nie będę w Warszawie—jedź dziś ze mną do teatru! Nikt nas nie pozna—odmienię się i przeinaczę.

— Nie mój ojcze! Nie mogę ani siebie ani ciebie narażać.

— Może jest racyja!—mruknął hrabia—i z rozjaśnionem obliczem pożegnał córkę—i rzekł jeszcze wychodząc:

— Mam nadzieję, że pozwolisz memu szwagrowi odwiedzić cię niekiedy, dla udzielenia mi o tobie wiadomości. Nawet proszę cię o to!...

Beata skinieniem głowy dozwoliła—za co Gucio wymownym podziękował wejrzeniem.

(d. c. n.)

Z DZIEDZINY MOWY.

(Dokończenie).

Nasza ortografija w ogólnym zarysie spornych punktów.

Na zakończenie wypada nam jeszcze poruszyć jednę, dość ważną ortograficzną kwestyją. Jest ona nawet dla nas tym od wszystkich innych ważniejszą, że rozstrzygając ją w kilku wierszach, zmuszeni jesteśmy wyjątkowo stanąć nie obok, lecz naprzeciw najznakomitszego naszego gramatyka. F. K. Malinowski wychodząc z zasady, że ortografija naszego języka jest przeważnie etymologiczną, t. j. nie na *brzmieniu*, lecz *rodowodzie* wyrazów opartą, każe pisać: bozki, francuzki, nizki, nie zaś: boski, francuski, niski. Czy pisownia taka licuje z etymologiją, zaraz obaczymy. Przymiotnik *boski* powstał z rzeczownikowego źródłosłowu *bog (a)*, w którym ostatnia tematowa *g*, prawem upodobnienia, przed wzmocnionym przyrostkiem *sk*, i przy pośrednim współudziale miękczącej joty, przechodzi w *ż*; skąd powstałaby, etymologicznie usprawiedliwiona, lecz ze wszech miar niemożliwa u nas forma: *bożski* (rosyjskie: *bożeskij*). Nie wdając się, z obawy znudzenia czytelników, w dalsze wywody, a widząc zupełną niemożność bezwyjątkowego, a ścisłego zastosowania zasady etymologicznej (*pierwo-składniowej*) do pisowni powyższych wyrazów, przyjmujemy tu raznazawsze zasadę *fonetyczną*, która przypuszcza wyrzutnią ostatniej tematowej (*ż,z*) i, mocą której, w granicach wyrazu, tylko słaba spółgłoska przed słabą (*z* przed *g*) i mocna przed mocną (*s* przed *k*) stać może. Na tejto zasadzie stale piszemy boski francuski i t. d. nie zaś: bozki, francuzki jak to ks. Malinowski w zgodzie z Kopczyńskim zaleca.

Na tym kończymy nasze luźne o ortografii polskiej uwagi. Pobieżności, nieodłącznej od treściwych w dziedzinie gramatyki poglądów, uniknąć nam było niepodobna; niepodobna nam też było poruszyć w krótkim artykule wszystkich ortograficznych kwestyj, które w ścisłym zostają związku ze spornemi punktami nierządnej naszej pisowni. Dalecy od mistrzowania, staraliśmy się tylko zwrócić uwagę czytelników na zasadnicze krzywizny uświęconej przez ogół pseudo-ortografii, na wskazówki, jakie nauka na dzisiejszym swym szczeblu ku ich naprawie podaje, oraz na praktyczną dążność do *uzasadnienia* i ujednostajnienia prawideł, którą się skromne reformatorstwo nasze koniecznie przejść powinno.

Niejeden może z czytelników, przeczytawszy te uwagi, powie, za przykładem drużyny, która wszystko, co nie jest apoteozą przegniłych szmat ducha przeszłości, błędnym nowatorstwem, lekceważeniem dawnych powag zowie, że dążąc do ujednostajnienia prawideł, wprowadzamy zamęt do ortografii, płynącej od czasów Deputacyi z 1830 r. *spokojnym, równym* korytem. Nie przeczymy, tak jest w istocie: zakłócić na chwilę naiwny spokój, aby na miejsce, mianującej się ładem, trupiej dla praw języka obojętności zaprowadzić ład na naukowej oparty podstawie, oto zadanie tych, których pewne codzienne pismo nazwało pogardliwie „reformatorami z Franciszkańskiej ulicy.”

Mówiąc o ortografii, niezapominamy bynajmniej, że istnieje cały tłum ważniejszych, żywotniejszych spraw. Czyn ma pierwszeństwo przed wyrażoną myślą, myśl, przed formą słowną; lecz stąd bynajmniej nie wypada,

---

i mający jaki taki majątek? Gdy go głaszczesz, gdy czuje, że go kochasz, duszę daje za ciebie, ale gdy przeciwnie, nigdy zgody nie będzie. „Wydrwigrosze, mieszczuchy, „próżniaki” powtórzy niejeden siadając do wagonu, zły okropnie, bo z pustą kieszenią. Nie podają nam ręki, biedujemy okropnie... Już to przyznać trzeba, że dziwny to charakter tych naszych wieśniaków. Kapłani i wojownicy w starożytnym Egipcie, uważali się z zasady, z woli bogów, za coś lepszego od innych. Z ojca na syna nie przypuszczali nigdy, że tylko wewnętrzne przymioty, że tylko wykształcenie, inteligencyja odróżnia jednych ludzi od drugich. W Egipcie podobne przekonania były doskonałe, ale jak wiadomo kilka to już lat temu. Dzisiaj, roku pańskiego 1873, jest to dziwne, bardzo dziwne. Czym się to dzieje? Dalibóg nie wiem. Znam obywateli na wsi, którzy tylko znają szlachtę, z nią żyją, jej koligacyje znają na wylot, to cały ich świat, po za tym nic; *ród* i *rola*, dwa nierozłączone, nieodczepione od siebie nigdy wyrazy. Z tej to fałszywej zasady raz wyszedłszy, brniemy coraz dalej i dalej. „Jak się nazywa ten pan który z tobą rozmawia” pyta mię mój sąsiad na imieninach w B—M...ski odpowiadam, skrzywił nosem, „co za jeden” pyta dalej, doktór mówię, nos skrzywił jeszcze bardziej i niezadowolony szlachcic poszedł dalej. Sądzimy więc ludzi naprzód z tego jak się nazywają. Mam koło siebie sąsiada, stary człowiek, nie z naszej epoki, po parę razy zwykł pytać o czyjeś nazwisko, gdy je już sobie dobrze w głowie utwierdzi, nie pyta o resztę, sąd wydany, rzecz skończona wartość tego człowieka osądzona z nazwiska. Są jeszcze inni którzy do nazwiska dorzucają rzecz drugą, zapytując: *ma też co*? goły, odpowiadają, chudeusz, i zdanie już wyrobione. Trzeba być koniecznie *dobrze urodzonym, i mieć swój majątek*. Gdy tego brak, bieda z nim. Przyjmą go i ugoszczą (boć jakże nie ugościć w polskim domu) „ale zdaleka od nas mój panie, ty nie do nas należysz”, potrafią mu pokazać jaka to przepaść między nim a niemi—nie pozwolą się zbliżyć.

Z tego traktowania stosunków szlacheckich, wyradza się pewna jednostronność i brak szerszego na świat poglądu. Mam tu koło siebie sąsiada, mieszka wprawdzie o kilka mil, jeżdżę do niego jednak z prawdziwą przyjemnością, tak umiejętnie odgrzebuje dawne czasy. Jest jeszcze młody, ale tak się wżył w szlacheckie stosunki, tak je zna, że po za tym świat zupełnie dlań obcy, zaczep go o co innego, pomów o zdobyczach nowszej cywilizacyi, nowych idejach, o cudach pracy, przemysłu, otworzy szeroko oczy, nic nie wie. Pism nie czyta, w mieście nie bywa, skądże ma wiedzieć o tym? A chłop spytacie? przecież ów szlachcic o chłopie coś wiedzieć musi. Gdzie tam, machnie ręką: „złodziej panie bracie, gadać nie warto.” Aż przykro pomyśleć jak u nas mało rozwinięte poczucie *obywatelskości* w najszerszym tego słowa znaczeniu. Jeżeli który z nas zdradza chęć do publicznego życia to to życie będzie przedewszystkim szlacheckie. Tam się wszystko zaczyna, ale tam i kończy. Ta więc obywatelskość, to poczucie iż nie dla siebie tylko żyjemy jakże więc szczupłe ma ramki! Czy który z nas pomyśli o zrobieniu coś dla młodszych braci, dla całego społeczeństwa. Dobrze to jeszcze gdy przynajmniej poczucie takiego życia w towarzystwie i dla niego, choć w małej części są rozwinięte. Alboż to mało mamy takich, który w swoim dworze, ze swoim włodarzem i parobkami cały świat mają. „Osobne państwo, zamknięta rogatka, posypane kopce graniczne, ot i jestem u siebie” powtarza z dumą nie jeden, co mi tam inni. Taki pan jeżeli wychyli się po za granicę swego państwa, to chyba po to, aby pojechać gdzie z interesem, a jeżeli ma stosunek z sąsiadem to uzewnę-

aby człowiekowi odznaczającemu się energiją, wolno było nieporządnie myśleć, a myślicielowi podług nielogicznej pseudo-ortografii pisać.

Zła ortografija, choćby była uzbrojona przez ogół piszących we wszelkie pozory dogmatycznego kanonu, to nie nauka, to kabała, utwór zgoła sztuczny, coś w rodzaju gry bilardowej, szachowej, lub karcianej [1]; więcej powiem: ubliża ona człowiekowi, jako istocie myślącej, ubliża jako narodowcowi, wpływa potężnie na skażenie mowy, a cudzoziemcom zagradza drogę do poznania języka.

Myśl ta podyktowała kilka powyższych słów ku obronie, nowej na pozór, lecz w gruncie, jak mowa polska starej pisowni. Czyste oblicze języka, zaćmione marzeniami gramatyków z przedostatniej doby, wychyla się znowu spoza mgły wiekowej. Sumienni badacze, gruntowni, a nieuprzedzeni lingwiści w długim, mozolnym trudzie dokonali tego cudu wskrzeszenia, czy oczyszczenia [2]).

Do znających i miłujących ojczystą mowę, należy wprowadzenie gotowych już teoryi w życie [3]). W innych dziedzinach postępowcy, bądźmy w sprawie języka i ortografii, konserwatystami.... Gdy dziejowo-porównawcze językoznawstwo i surowe, lecz wierne głównych jego wyników zwierciadło, mowa ludowa, staną się dla przyszłych areopagów i publiczności raznazawsze godnym zaufania próbierzem prawdy, niebędziemy, za przykładem Kopczyńskiego, wydawać sami na siebie wyroku potępienia, niebędziemy mieli podstawy, *poomacku mistrzując*, narzekać, że „wady mówienia i pisania przypisać trzeba literatom, którzy albo źle uczą, albo nie uczą [2]).” *A. G. B.*

---

[1]) Ortografija Kopczyńskiego i Deputacyi nie jest *w zupełności* takim sztucznym utworem, lecz poważamy się, na podstawie powyższych uwag, przypomnieć, że *jest nim pod wieloma względami*.

[2]) Główną zasługę w tym względzie położył u nas głęboki znawca języka nasz prof. Jan Przyborowski.

[3]) Znakomicie się pewno do tego przyłoży obradująca obecnie w Poznaniu komisyja, w której, jak wiadomo i kś. Malinowski zasiada.

[4]) Gram. jęz. pol. 1817, str. 200.

NASI POWIEŚCIOPISARZE.

Jan Zacharyjasiewicz.

(*Ciąg dalszy.*)

O ile wiemy p. Z. raz jeden tylko usiłował przedstawić kobietę, wyzywającą świat do walki własnemi środkami, rozszerzającą sobie zakres działalności—i kobietę tę postawił tak nisko, że żadna nie zechce w jej ślady wstępować. Mówimy tu o *Człowieku bez jutra*. Paulina „zawiedziona w miłości“ daje się wykraść jakiemuś porucznikowi, po to tylko, ażeby spalić za sobą okręty, to jest nie módz nigdy wracać do małej mieściny, gdzie dla jej ducha nie było dostatecznie szerokiej areny działania. Skompromitowana dobrowolnie, musiała zapomnieć o przeszłości i nowy gmach życia w wielkiej stolicy budować. Nie wzięła się bynajmniej do pracy, więc została przyjaciołką barona i wielu innych. P. Z. miał zapewne na myśli wybryki emancypacyi i postać taką na szykanę jedynie przed czytelnikami na świat wyprowadził. Głębszej w tym myśli np. protestacyi przeciwko ruchowi jaki wśród dzisiejszej gieneracyi kobiet się rozpoczął, trudno się dopatrzeć, zwłaszcza kiedy pomyślimy, że parę lat przed tym, w powieści „Po ślubie“, p. Z. w dorywczych aforyzmach, sam dobitnie wykazywał potrzebę wyższego wykształcenia i rozszerzenia zakresu pracy kobiecej. Trudno zapewne od marzyciela-realisty wymagać stałych i ściśle określonych przekonań, bo może się tłómaczyć wymaganiami artystycznemi, koniecznością wprowadzenia jakiegoś nowego żywiołu do powieści i t. p.—w każdym jednak razie świadczyć to może o niechęci lub niemożności sformowania przed sobą samym kwestyi, którą się mimochodem potrąca.

Popatrzywszy z innej strony na ten sam przedmiot, do podobnegoż dojdziemy zdania. Pomyślał raz p. Z. o stworzeniu *ideału* polskiej dziewicy i napisał *Wiktoryją Reginę*. Miała ona wielu czytelników i wielokrotnym ocenom była poddana. Przedstawiono tu kobietę szlachetną, piękną, wykształconą, imponującą i chciano udowodnić jej gotowość do poświęcenia się. Kochała ona pewnego letkiewicza, który oczarowany jej urokiem i olśniony jej nauką, zaczynał przemieniać swe życie. Na nieszczęście kochał on poprzednio inną i w wielkim smutku ją zostawił. Wiktoryja Regina dowiedziawszy się o tym, zrzeka się swej miłości na rzecz owej pierwszej kochanki swego wielbiciela. A sama?—sama idzie za drugiego (hr. ***). Gdzież tu poświęcenie? To ogólny zarzut, jaki powieści tej robiły kobiety. My dodamy drugi. P. Z. wystawił Wiktoryją Reginę jako postać wystrzelającą wysoko nad poziom wszystkich otaczających ją. Zapewne; ale któż byli ci otaczający. Wujaszek czy stryjaszek, mało różniący się od monomana i letkiewicz kochanek. Nic dziwnego, że kobieta jako tako wykształcona, mogła mieć przewagę umysłową i moralną nad człowiekiem, który zgłębiał tajemnice spraw w Portugalii lub nad młodzieńcem, który umiał jedynie ładnie tańczyć i ładnie jeździć na koniu. Wiktoryja Regina wyolbrzymia się tylko dla tego, że obok niej stają karły. Dla czego p. Z. nie zestawił z nią równie silnej umysłowości i równie silnego charakteru? Zresztą my o tej umysłowości i o tym charakterze wiemy tylko z zapewnień autora. W rzeczywistości widzimy tylko piękne maksymy, których każda panna w swoim dzienniczku może wypisać całe tuziny. Nie w maksymach leży potęga, ale w czynach. Czyny zaś odkryły Wiktoryi Reginie dość pospolitą śmiertelniczkę, w całym majestacie samolubstwa. Innej oddała Cezara, sobie wzięła Andrzeja, bo tak jej było wygodniej.

* * *

Nie będziemy przebiegali po tych wszystkich ścieżkach i drogach, po jakich p. Z. przeprowadza swoich wybrańców z „małego światka”—począwszy od *Uczonego* (1855), aż do nieskończonej dotąd jeszcze powieści: *Co ich zbliżyło* (w Kłosach 1873); byłoby to bowiem i nużącym i bezpotrzebnym. To co się tutaj powiedziało w ogóle i poparło kilku szczegółami, możnaby sprawdzić za pomocą imion, nazwisk osób i miejscowości; ale gruntu rzeczy nie zmieniłoby się wcale. Staraliśmy się pochwycić rysy główne — rysy te odnaleźć można wszędzie, mniej lub więcej artystycznie uwydatnione, czy w takiej humorystycznej powieści jak *Mąż upatrzony*, czy też w takiej rozwodnionej anegdocie, jak: *Porwanie Sabina*, *Widoki Familijne* lub *Opinija parafijalna*. Wszędzie widnieje myśl szlachetna,

---

trzniający się pod postacią impertynenckiego listu: o odmawianiu ludzi, worywaniu w granicę i t. p. Sam wiem o wypadku w którym dwaj sąsiedzi nie znający się przedtym są dziś śmiertelnemi wrogami, gdyż parobek którego zgodził jeden, następnie zgodził się u drugiego. Oto się nazywa znać warunki towarzyskiego życia! Sobkostwo i zamykanie się w swojej skorupie granic czasem nie ma. Koło miasta B. mieszka p. S. człowiek młody, bardzo zamożny, dobry gospodarz, ale jak mi opowiadają, z nikim a z nikim nie żyje, prowadzi żywot zupełnie pustelniczy. Podobnych przykładów naliczyłbym więcej. Żadnej spójni, żadnego towarzyskiego życia! Sąsiedzi nie znający się nawet, patrzą na siebie jak na wrogów. Zawsze jeden ma się za lepszego jak drugi. Pytałem raz któregoś, dla czego nie znając swego sąsiada, tak go serdecznie nienawidzi i przesladuje? Ja panie, odpowiedział, bo to widzi pan ja tak z góry uprzedzam się do ludzi, ale jak bliżej poznam.... Dobrze, więc dla tego, że go nie poznał dokucza mu i nienawidzi. Wiwat lokal!..

Życie więc towarzyskie w naszym kąciku, bardzo zabawnie wygląda. Najbliżsi sąsiedzi prawie się nie znają a o dalszych trudno mówić, odległość nie pozwala na stosunki. Całe więc życie wspólne redukuje się do stosunków pokrewieństwa i wyjątkowéj jakiejś przyjaźni, któréj czasem za górami szukać musimy. Ale tego co blisko broń Boże. U nas zdaje mi się jest górzéj jeszcze jak gdzie indziej. Mamy tu chmarę Niemców a to niepomaga naturalnie do polepszenia towarzyskich stosunków. Od tych Niemców nauczyliśmy się trochę gospodarować, ale ci sami Niemcy wyrugowali nam z serca dużo pięknych rzeczy, a wprowadzili jedną „nie przebaczaj bliźniemu.” Im bliżsi sąsiedzi tym gorzéj. Jest to zupełnie podobne do tych służących mieszkających na jednym piętrze, które się zwykły o wszystko kłócić i wieczną z sobą prowadzą wojnę. Przy braku więc zrozumienia życia, z najdrobniejszych szczegółów wyradzają się kłótnie i spory. A że zwykliśmy się uważać za jakieś osobne państewka, tacyśmy drażliwi o nasze dobro jak ministrowie o swoje wydziały. Żeby to przynajmniej tak było, żebyśmy już dajmy na to zryzykowali jedno na korzyść drugiego, gdybyśmy przestawszy żyć z ludźmi, stosunki z resztą natury przeprowadzali według dzisiejszych wymagań. Niby to w Kujawach nieźle gospodarują. Ale dopóki rolnictwo będziemy jak dziś uważali jako monopol- przysługujący jednemu stanowi, jako prawo dziwne jakieś, które się nam należy, jako zajęcie nie mieszczące się w ramach godnéj produkcyi danego społeczeństwa, będziemy kuleć, boć z fałszywéj zasady i wniosek fałszywy. Tymczasem powiadamy że sprzedawać przenicę, wełnę, to nie grzech, to rzecz nasza szlachecka zwykła, ale sprzedawać np. mąkę z pszenicy to rzecz żydowska i naszych rąk niegodna. Dziwne pojęcie. Zdaje nam się że gospodarstwo rolne, to nie ta lub owa gałęź zajęcia które chléb daje, ale poprostu jakieś wyższe, wyjątkowe zajęcie od Boga nadane ludziom mieszkającym na wsi. Jeżeli z jednéj strony nie imamy się do podniesienia bogactwa narodowego i przerabiania surowych materyjałów, to znów tych którzy przybywają między nas, do naszego zajęcia a niby do niego nie przeznaczeni, za nic uważamy i mówimy o nich jak o półgłówkach. Powiedziałem wyżéj, że aby być w porządku, trzeba się dobrze nazywać, i po ojcach odziedziczyć majątek. Kto się dorobił godziwą pracą, to dorobkowicz, a jak się źle nazywa, bieda z nim. Znam przecie jednego pana który nienawidzi drugiego tylko za to że się znacznego dorobił majątku. Jak obok tych dziwnych przekonań wyglądają ludzie, którzy głębiej czują i szczerzej myślą? Rozważcie sami, a i takich nam nie brak, kilku obywateli w naszych stronach dało i da-

w szczegółach tylko nie zawsze szczęśliwie przeprowadzona, czasami skrzywiona zaściankowością, czasami wypowiedziana zaledwie w połowie, czasami skrzywiona w swoim bliższym rozwinięciu. Gdybyśmy postawili pytanie, czy p. Z. w poglądach swoich jest postępowym, możnaby na nie odpowiedzieć i *tak* i *nie*. Niekiedy dobrze rozumie kwestyją, ale źle ją wymotywuje, niekiedy przypadkową i jednostkową cechę uważa za prawdziwą i stanowiącą podstawę całej rzeczy. Przykład objaśni to najlepiej. „*Człowiek bez jutra*" jest to historyja człowieka (Stefana), który zamiast pójść drogą pracy, chociażby najdrobnostkowszej, a zatym najmozolniejszej, ale szlachetnej, uczciwej, produkcyjnej, korzystnej dla społeczeństwa, wybrał się w życie wygodnym gościńcem spekulowania na los i na okoliczności. Odgrywać rolę salonowego pińczera w obec bogatych a rozpustnych dam wielkiego świata; marnotrawić ojcowiznę na nikczemne zabawy w nikczemnych towarzystwach; udawać zakochanego w brzydocie dla wyciągania od niej papierków kurs w kraju mających; wypożyczać swe imie dla przykrycia podłej spekulacyi:—takie były środki utrzymania Stefana, takie są środki każdego, kto bez pracy chce używać wszystkich korzyści wyrafinowanej i wypieszczonej cywilizacyi spółczesnej. Każdy pożąda wygody i blasku, które stały się podścieliskiem marzeń dnia dzisiejszego; ale jedni zdobywają je sobie niezmordowaną działalnością lub przyrodzonym sprytem w załatwianiu interesów, połykaniem kurzu w kopalniach lub wąchaniem swędu w fabrykach, pracą nocną przy stoliku, lub wywalczaniem życia pośród burz oceanu, a drudzy rachowaniem na łatwowierność i głupotę ludzką, wyzyskiwaniem swojej bezczelności, wydzierżawianiem podłości swej duszy, grą na giełdzie, lub takąż grą w błyszczących przepychem salonach. Jak pierwszych, tak drugich różne losy bywają: zależy to od wielu bardzo skomplikowanych okoliczności; to jednakże zostaje niezbitym pewnikiem, że pierwsi zyskują szczęście, chociażby granice jego we własnym ich zamykały się sercu; a drudzy, pohulawszy lat kilka, źli na siebie i na innych kończą na zwątpieniu i cynizmie, jeżeli ich wprzód sprawiedliwość ludzka przed kratki sądowe nie powoła. Życie teraz jest ciężkie, a wyrobienie charakteru nie dorosło do jego wymagań; skromne żądania należą do krainy baśni; każdy chce być nababem i to jak najprędzej;—dalejże więc gonić za zmiennicą—fortuną, czepiając się służalczo jej kół tradycyjnych, mniejsza o to, że śmiałka przejechać mogą. Łatwość zysku pociąga, a siła oporu słabnie; brak charakteru zastępuje wyuzdanie, a brak serca—rozpusta. Tak się dzieje. Zachodzi tylko pytanie, czy *powszechnie*? P. Zacharyjasiewicz w ferworze powieściopisarskim całej dzisiejszej *młodzieży* zdrożności owe zarzucać się zdaje, stawiając do porównania młodzież dawniejszą, która *na poddaszach* i przy świetle *łojówki*, szturmowała jak starożytne Tytany do nieba ideałów!... Jest to przesada, zarówno szkodliwa w naganie, jak i w pochwale. W swoim czasie protestowaliśmy już przeciw niej i dziś protest swój powtarzamy. Młodzież jest taka i taka; a napewno można twierdzić, że *większość* ku lepszemu dąży. Historyja *poddasza* i *łojówki* zarówno dzisiaj, jak i przed laty dwudziestu z równą słusznością i z równym zapałem może być napisana. P. Z. miał zapewne na oku jakiś fakt pojedyńczy, wydarzony w jego ulubionej Galicyi, i fakt ten uogólnić się starał, w rodzaj sumarycznego wyroku, potępiającego młodzież dzisiejszą. Jakaż to przepaść pomiędzy poniewieraniem młodzieży w „Człowieku bez jutra" a jej uwielbieniem w „Bożym dziecięciu" (1858), gdzie opisywał w homerycznym nastroju przymusowe rozejście się studentów... P. Z. zaczął już czarno patrzeć na świat—i w przeciągu lat dwunastu zmienił swoje przekonania o młodzieży. Śmiało możemy twierdzić, że jest to *jednostronność* która *chwilowo* może istotnie silniej podziałać na czytelników, skierowując ich umysł na jeden punkt jaskrawo oświetlony;—ale nader prędko wzbudzi pewne powątpiewania, pewne zarzuty, mogąc sparaliżować wpływy utworów autora, chcące mieć słuszne pretensyje do szerokiego wpływu. (*d. n*).

Korespondencyja Opiekuna Domowego.

Z Polesia. w Kwietniu r. b.

A może kto ciekawy, jak życie ludzkie płynie w ziemi poleskiej. Proszę, czytajcie — znajdziecie tu i to i owo, i choć w części zaspokoicie swoją ciekawość.

Dobrze znam drogi z Kijowa do Owrucza. Jedna — boczna na miasteczko Chabne p. Horwata, sławne swojemi sukiennicami niemieckiemi; druga—trakt bity pocztowy na Żytomierz. Pierwsza długa mil 18, druga—25. Obie urozmaicone gęsto po jednej i drugiej stronie rozsiadłemi wioskami i pięknemi lasami. Pierwszą z tych dróg w Czerwcu r. z. odbywałem podróż do domu. Uprzyjemniała ją gawęda ze starym poczciwym moim woźnicą Walentym Hilińskim, nużyły noclegi i popasy.

Niedoświadczony, zamało zabrałem ze sobą prowijantu i w skutku tego przekonałem się dopiero o nędzy, jaka panuje *na przednówku* w chatach naszych wieśniaków. Zaledwie dziesiąty o téj porze ma chléb jeszcze własny, słonina stanowi wielki specyjał, nabiału niewiele a drobiu mniej jeszcze. Większość karmi się barszczem z wody i wróblej czerniny, innego pokarmu nieznając.... Ledwie dwu lub trzech w wiosce znajduje się tak zwanych *bohatyrów* (bogaczów). Są to lichwiarze którzy zimową porą wypożyczają biedniejszym pieniądze na podatki, za co w lecie mają, że się tak wyrażę, ciągłą *pańszczyznę*. Ci korzystając wraz z żydami z biedy swoich współbraci, stawiają sterty, zakładają pasieki i zbierają grosze—inni za to głód znoszą...

Niedawno, w korespondencyi do gazety „Tydzień" podałem wyciąg ze sprawozdania Tow. Jeograficznego, w którym pomieściłem wszystkie ważniejsze statystyczne cyfry, tyczące się rozmaitych klas i narodowości trzech południowo - zachodnich gubernij. W czasie podróży o jakiéj wspomniałem, miałem maleńki obrazek tego, o czym kiedyś obszerniej czytałem i pisałem.—„Czyja to wioska?" pytam—„Kazienna."—„A ta czyja?"—„Kazienna."—„A ta?"—„J. W. Pana W." odpowiada mi usłużny arendarz, ale wun teraz siedzi w Kijowie, a co ma kłopotów, aj! waj!"—„Czemuż to?"—„Psiedajut' z publicznoho torhu... już pristaw opisal..." Przejeżdżam przez ogromną śliczną wieś. Strach co się dzieje: pański niby pałac w najokropniejszej ruinie, część w zwaliskach, część świeci pustką z powybijanemi oknami, bez drzwi i dachu;—zabudowania gospodarskie w gorszym jeszcze stanie. — „Czy dawno ta wioska sprzedana?" pytam znów chłopadworaka. — „Proszę panicza, to *iwś* (wieś) je dowody wysokiego zrozumienia swych trudnych obowiązków, ale tylko kilku, kilkunastu w reszcie. Całość spi snem błogosławionych jak za dawnych czasów. Tylko trochę lepiej robi w ziemi, lepiej pasie inwentarz, więcej produkuje mierzwy, ma mniej długów, ale reszta po dawnemu. Powiadają że za dobrobytem idzie oświata i zrozumienie obowiązków jakie mamy względem społeczeństwa, że mając dziurawy dach trudno myśleć o drugich. Niech i tak będzie, zgoda i na to, żyjemy więc w chwili przejścia, o jakże gorąco pragniemy aby ten stan przeminął jak najprędzéj. Potrzeba nam tego, potrzeba nam się zbliżyć, kochać więcéj, bo masa rzeczy spi, bo i niwa publicznego dobra odłogiem leży. Nie wiadomo za co wprzód uchwycić. Mamy do mówienia o tysiącu kwestyi ekonomicznych, mamy złe drogi, wyzyskują nas handlarze i faktorzy. Jeżeli jesteśmy razem to rozmowa najwyżéj idzie o urodzajach, trwa to jednak krótko przechodzim do polowania, koni, chartów a kończym na wiście, preferansie i paru kieliszkach dobrego wina. Rozmowy, i sporów o poważne rzeczy ani znajdzie. A gdy więcej nas razem, gdy w naszym gronie i kobiety (o których jeszcze nic wam niepisałem) to dziwna rzecz jak towarzystwo rozstrzelone. Młodzież stoi pod piecem, panienki listki skubią, mamy oglądają toalety a panowie, naturalnie grają w preferansa. Bożek pożywienia łączy na chwilę to całe grono ale na chwilę. Potym znów wszystko po dawnemu, młodzież pod piecem i tak w kółko. Smutne to, ale tak jest, tak się u nas bawią, i tak pojmują życie w *towarzystwie*. Trzeba przecież być w zgodzie z Arystotelesowym nazwaniem człowieka. Na zakończenie dodaję że są wyjątki, ale te wrachunek nie wchodzą. *Ar. Za.*

* *
*

W 16 Numerze Opiekuna Domowego z r. b. podaliśmy wiadomość: że wskutku ogłoszonego konkursu na projekty architektoniczne, budować się mającéj w Warszawie synagogi, wypracowano sześć planów i wywieszono takowe, dla publicznego obejrzenia w salonie Warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Obecnie zatym uważamy za właściwe, wzmiankę tę uzupełnić wiadomością—że z prac tych, Komitet Synagogi przy ulicy Danilewiczowskiej uznał za najodpowiedniejszą tj. za najbardziej do potrzeb swych zbliżoną, pracę oznaczoną godłem „Tablice Mojżesza na dziesięciopromiennéj gwiazdzie" i téj przyznał pierwszą nagrodę w kwocie Rs. 750. Drugą zaś nagrodę Rs. 300 przysądził pracy pod godłem „Arka przymierza."

Po rozpieczętowaniu kopert okazało się: że autorem pracy która pierwszą otrzymała nagrodę jest p. *Bronisław Żochowski* Budowniczy Rządowy Klasy III (z pomocniczym udziałem p. Teofila Lembke Budowniczego Klasy I.) Autorem zaś drugiej pracy p. Jan Heurich, Budowniczy wolno-praktykujący w Warszawie.

* *
*

Staraniem Redakcyi *Opiekuna Domowego* urządzono w Lublinie szereg odczytów na dochód Towarzystwa Osad Rolnych. Pierwszy odczyt p. t. „Człowiek i jego życie" wypowiedział Dr. Gustaw Doliński w obec 500 słuchaczy. Drugi również Dr. Doliński „O przyczynach chorób". Trzeci Aleksander Głowacki „O budowie wszechświata." Czwarty Jan Maurycy Kamiński „O nieletnich przestępcach." Piaty wreszcie odczyt wypowie Adolf Suligowski „Historyja i znaczenie pieniędzy".

Ogólny dochód z czterech pierwszych odczytów wynosi rs. 248 kop. 35.

grafa czy tam kniazia L.... Wun już lat z petnanciat tu nie był, a żyje za hranicą.... w nemeczyzni hdeś.“—„Któż tutaj rządzi?“ „Okumon, ta wun mieszka w drugiej iwsi.— Oj grafie, czy kniaziu, pomyślałem sobie, wartoby ci dać dobrą naukę, żeś na za granicę tak ojcowiznę zmarnował.

Niemniej przykre obrazy rudery i dobrowolnego zniszczenia uderzają na drodze Żytomiersko-Owruckiej. Jadąc tędy przed kilku tygodniami smutno i posępno mi było. Oto wieś Toporzyszcze i wielka i ludna. Z po za pięknego dworu widać kopułę parafijalnego kościołka. W tym kościołku lat temu kilka modliła się liczna rodzina państwa K. poczciwa i zamożna. I pocóż było panu K. wymyślać jakieś afery, puszczać się w niepewne interesy? Dzisiaj kościołek opuszczony, prześliczny domek brudny i zamieszkany przez przybyszów niemców. A tu inna znów wioska Lesowszczyzna w ślicznym położeniu pod lasem. Przejeżdżając tędy przed kilku laty widziałem bawiące się na tym dziedzińcu na około klombu grono młodych panienek i chłopców. Piękną zieloną murawę deptały stopy młodzieży. Dziś niemiec gustowny domek o oszklonym ganku, zdaje się na browar zamienił, ogród zasiał kapustą, a sam zamieszkał w kuczce o wysokim, spiczastym dachu....

Stwórco niebieski! pocóż tych kuczek spiczastych tak wiele dziś się u nas mnoży? dlaczego przykład jednego obywatela, oszachrowanego i wplątanego w najgorsze interesy przez to chytre i odwiecznie wraże nam germańskie plemię, innéj szlachty rozumu nie nauczy? Czyż koniecznie mamy wszyscy wyginąć marnie.

Inaczej już jest w okolicy czysto Owruckiej i po za Owruckiej w stronie ku Maryrzowi położonéj. Okolicę tę nazwałbym *Poleską Ukrainą*, zajmuje bowiem przeszło kilkadziesiąt wiorst kwadratowych czystego stepu, na którym samotne, tu i owdzie sterczące sosny, dawne kiedyś tutejsze przypominają puszczę. Przestrzeń ta poprzecinana rzekami, *częścią* w stronie m. Wielednik wzgórzysta i pełna jarów, usiana jest ogromną ilością kurhanów, z którem wiążą się najrozmaitsze podania, nieznane jeszcze światu uczonemu. Szkoda że nie wiedział o nich p. M. Grabowski przed wydaniem swego dzieła: „Ukraina dawna i teraźniejsza“. Przestrzeń ta, w której lasy są w ogromnéj cenie, ma ziemię po większéj części gliniastą niekiedy z dodatkiem czarnoziemu, średnio urodzajną. Lud wiejski dosyć zamożny, do *panów* trochę zniechęcony, ale stokroć lepszy, od ludu ukraińskiego. Główną cechę jego charakteru stanowi chytrość ogromna, a niekiedy upodlenie. Szkółki wiejskie nie wiele wpływają na jego oświatę, gdyż nawet pod względem religijnym lud ten bardzo nisko stoi.

— Słuchaj kumie, zapytuje jeden wieśniak drugiego, co to będzie, jak stary Pan Bóg umrze? A On już bardzo stary, z taką siwą go brodą malują. Kto to będzie wówczas światem rządził?

— No, pewno Matka Boża.

— Ej, dałbyś pokój! gdzie tam Matka Boża... to już prędzéj Św. Mikołaj.

— A może i święty Mikołaj. Ale powiedz no mnie kumie, gdzie to te dusze (upiory), co po śmierci chodzą, dziewają się. Toż ciągle wielu grzesznych ludzi umiera...

— Ehe, gdzie dziewają się?! Każdy dziki zwierz je zjada: i wilk, i lis...

Oto jest maleńka a rzetelna próbka ich pojęć więc i ukształcenia. Podobnemi dziwolągami całe folijały zapisaćby można. Szlachta zaściankowa, któréj tu jest kilkanaście tysięcy, jeszcze może ciemniejsza. Dziś wszystka ona zapisana do klasy mieszczańskiéj.

Zamożniejsi obywatele ziemscy trzymają się jeszcze nie źle. Prawda że z powodu ostatnich wypadków ubyło ich dosyć, ale ci co pozostali, gorliwie pilnują roli a boją się długów jak djabła. Rzadko też majątek ziemski ulega sprzedaży przez licytacyję, a to wielka zasługa.—To tylko smutno że ciągła walka z przeciwnościami zniechęca wielu i to tak dalece, że radziby byli sami sprzedać ojcowiznę aby się pozbyć kłopotu..... Przy tym nie tylko na Polesiu, ale w całym tutejszym kraju daje się czuć ogromny brak młodzieży, co niemniéj źle wpływa na ustrój społeczny: młodzież bowiem zawsze odważniejsza, energiczniejsza, mająca świeże siły, a więc wytrwalsza i silniejsza, połączona w przyjazne, pełne szlachetnych celów kółka, jak tego mieliśmy przykład na *Patryjarchacie testamentowym owruckim*, (o którym wspomniałem w korespondencyi mojéj do „Tygodnika“, a który, z żalem muszę powiedzieć, chyli się dzisiaj do upadku z powodu rejterady patryjarchy Abrahama) wpływa przeważnie na intelektualne pojęcia zastarzałych w dawnych przesądach obywateli, podtrzymuje literaturę, chroni od zbytecznego zacofania się i stanowi jeden łańcuch bratniéj w razie potrzeby pomocy, jednym słowem spełnia to, co tak pięknie w jednéj ze swych powieści odrysował nam niedawno Kraszewski.

Pod względem umysłowym w ciągu ostatniego roku nasza okolica postąpiła o wiele naprzód. Dziś pism peryjodycznych prawie dwa razy więcéj się tu wypisuje jak dawniéj, a literatura i nowe poglądy w wielu domach nie są już *żelaznym wilkiem*. Nie mówię wszakże tego o magnateryi miejscowéj, która wyjąwszy gościnnego domu b. gubernijalnego marszałka p. Horwata, składa się z zaczarowanych księżniczek niedostępnych dla oka ludzkiego lub z podtatusiałych dostojników niemyślących już o świecie bożym. Mówię o szlachcie wioskowéj o tak zwanéj u nas szlachcie obywatelskiéj, która z bardzo małym wyjątkiem—poczciwsza tu i szlachetniejsza, jak w wielu innych stronach rozległéj naszéj ziemicy. *(d. n.)*

Rozmaitości.

Jak czytamy w *„Daily News“* **John Stuart Mill** pozostawił w rękopiśmie szczegółową autobijografiją, tudzież rozprawy o „Naturze,“ o „Teizmie“ i o „Użyteczności religii.“ Rękopismy te mają być w jaknajkrótszym czasie wydane.

* * *

Donoszą nam z Poznania że budowę **teatru polskiego w Poznaniu** rozpoczęto nareszcie; ale roboty prowadzą się tak niedołężnie, że prawdopodobnie po nowym zebraniu akcyjonaryjuszów, przyjdzie do skutku wybór nowej Dyrekcyi.

* * *

P. Zygm. Jaroszewski ogłasza prenumeratę na dzieło mające objąć dokładne **Sprawozdania z Wystawy Wiedeńskiej w zakresie rolnictwa i przemysłu rolniczego.** Specyjalni współpracownicy zdadzą w nim sprawę z działów szczegółowych jak następuje: 1) Produkcyja rolna, z dołączeniem nasion zasługujących na rozpowszechnienie; 2) Produkcyja nawozowa; 3) Produkcyja zwierzęca; 4) Budownictwo wiejskie i fabryczne; 5) Mechanika rolnicza; 6) Gospodarstwo leśne; 7) Ogrodnictwo; 8) Gospodarstwo domowe; 9) Gospodarstwo rybne, pszczolnictwo i jedwabnictwo; 10) Produkcyja przemysłowo-rolnicza, obejmująca: gorzelnictwo, cukrownictwo, piwowarstwo, olejarstwo, młynarstwo i t. p. przedmioty, mające związek z produkcyją przemysłowo - rolniczą. Dodatek obejmie cenniki i adresy znaczniejszych fabryk krajowych i zagranicznych. Druk rozpoczęto 1 Maja. Liczba egzemplarzy ograniczona będzie liczbą prenumeratorów; należy więc pospieszyć się z prenumeratą, która wynosi rs. 3, a z przesyłką rs. 3 kop. 50. W Warszawie skład główny u pp. Gebethnera i Wolffa.

* * *

Amerykańskie Towarzystwa i Zakłady Pedagogiczne, mające na celu kształcenie i podnoszenie rasy murzyńskiej, przy pomocy nauki i sztuki, zaczyna wydawać rezultaty. Dowiadujemy się z gazet angielskich, że do Londynu przybyło w tych dniach **towarzystwo czarnych śpiewaków**, złożone z 11 murzynów i murzynek, posiadających wysokie wykształcenie muzyczne w jednym z takich zakładów zdobyte. Murzyni ci byli niedawno jeszcze niewolnikami.

* * *

W Monachijum zbierają składki na wzniesienie pomnika Baronowi Justusowi Liebigowi, słynnemu chemikowi i wynalazcy ekstraktu mięsnego.

* * *

Nakładem wydawców pp. Czarnowskiego i Spki, wyjdzie wkrótce w tłomaczeniu polskim, znakomite dzieło profesora Steina p. t. *Nauka o Społeczeństwie* (Gesellschaftslehre). Nakładem téj saméj firmy ma wyjść także powieść humorystyczna p. Gaboriau „Biuraliści.

Odpowiedzi Redakcyi.

Księ. Sołłohubowi w Lenkimach. Nr. 1 wyczerpany 2 i 3 posyłamy powtórnie. Zaległe od 15 włącznie wysyłamy i przepraszamy za zwłokę. Przy układaniu listy prenumeratorów na kwartał 2gi opuszczono Szanownego Pana przez pomyłkę.

Panu J. w Warszawie. Zapytujesz nas Pan czy można wyrobić pamięć i jakim sposobem — prosimy o cierpliwość, znajdziesz pan niedługo artykuł w naszym piśmie obszernie rzecz tę traktujący.

Panu Klemensowi K... we Lwowie. Odebraliśmy list i zrobimy właściwy z niego użytek w przyszym numerze Opiekuna Domowego.

Sprostowanie. W N-rze 22 artykule *„Z dziedziny mowy“* str. 172 łam 2-gi w wierszu od dołu 20 znak [1]) niepotrzebny (powinien być przy nagłówku); str. 173 łam 1-y wiersz od dołu 1-y (w dopisku) zamiast: *ę, em, e, am, an)* powinno być: *(ęem, en, am an,)*; na tejże str. łam 2-gi wiersz 18-ty zamiast: *stale odmiennej cząstki* czytaj: *stale nieodmiennej cząstki.*

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.